

Wędrowny stereotypizacji

zakład

25 lutego 2020

Autorka „Wędrownego zakładu fotograficznego” mówi nam w swojej fotograficznej podróży na „dziki wschód” Polski, że będzie się stara unikać przedzałożeń, stereotypów, ocen. Jest etnografką, interesuje ją kultura wiejska, a na samej wsi bywała jako dziecko – co może ją negatywnie zaskoczyć? Po czym, opisując odbywane spotkania, łamie większość swoich założeń metodologicznych i moralnych.

Pomysł na fotograficzną podróż po kraju, zwłaszcza tak dużym jak Polska, jest prosty, ale chwytny. Jeden van, jeden aparat, jedna kobieta. Agnieszka Pajączkowska chce przywrócić społeczną funkcjonalność roli fotografa objazdowego. Pragnie przyjeżdżać do przypadkowej wsi leżącej na szlaku swojej podróży, rozwieszać przed sklepem lub czyimś domem białe prześcieradło, i robić zdjęcia ludziom, którzy na co dzień nie są fotografowani. Drukuje je potem od razu na podręcznej drukarce i wręcza „zdjętym” osobom. Wspaniały pomysł na podróż i książkę, prawda? Wymagający otwartości, odwagi, wyjścia do rozmówców, odnalezienia się w byciu „nie u siebie”. A przede wszystkim – odwieszenia własnych oczekiwań na kołek.

Historia przez prawie czterysta stron książki toczy się w podobny, raz senny, raz chwytny sposób – autorka kogoś spotyka, robi mu/jej zdjęcie, rozmawia albo nie, wypija oranżadę w sklepie wiejskim, obszczekuje ją pies itp., a wszystko to mamy podane w formie literackich miniatur. Jednak, moim zdaniem, wbrew deklaracjom, ta książka nie jest o Podlasiu, ludziach, o wsi. To jest książka o autorce dużo bardziej niż o kimkolwiek innym. Z każdej miniatury, opisu spotkania czy upalnego południa niedaleko granicy białoruskiej, jak spod rogu niedokładnie przybitej na wiejskim stole ceraty, wystaje wciąż i wciąż postać samej autorki. Jej

oczekiwania, jej uczucia (zwłaszcza w kółko opisywany strach, dyskomfort, niesmak), poczynione przez nią obserwacje. Zdaniem jednych czyni to książkę osobistą, bo reporterka wychodzi daleko poza „byłam/widziałam”. Zdaniem moim – daje pole do skierowania strumienia uwagi na przeżywane przez nią trudne chwile. Bo autorka musi być na wsi. Musi przemieszczać się po okolicach, o których pisze na przykład tak: „Gdy miałam trzy lata, w Polsce wiele się zmieniło. Na fali transformacji moi rodzice kupili wiejskie gospodarstwo oddalone pięćdziesiąt kilometrów od naszego mieszkania na warszawskim Grochowie. To była typowa nijaka mazowiecka wieś. Chwilę wcześniej zlikwidowano w niej PGR, po którym zostały dwa szare bloki pełne zaskoczonych ludzi mających w zwyczaju wylewać ścieki do ogrodu warzywnego, zostały też długie, puste chlewy z pustaków oraz sklep otwierany w niedzielę tuż po trzynastej, by można było się napić po mszy”. Niby wszystko prawda, jednak tak podana, że nie widzimy „w głowie” po prostu mieszkańców zostawionych na pastwę losu przez trąbę powietrzną transformacji. Widzimy wykrzywione, zapijaczne gęby tłuszczy, która dziwi się, że jak to zamknęli PGR, i nie umie iść z duchem czasu. I to wszystko już na stronie dwunastej.

Jednocześnie autorka w części książki, w której opisuje swój namysł, założenia i przygotowania do projektu, gani Zofię Rydet, legendarną polską fotografkę, której zdjęcia z nieistniejących już wsi i przysiółków podziwia się do dziś. Gani ją i napomina za „nadużycie miejsko-klasowej przewagi”, „wejście z butami biednym ludziom do chałup” i „wykorzystanie fotografii jako narzędzia ich egzotyzowania”. Jest więc świadoma, że kobieta z Warszawy, z aparatem fotograficznym i pewną dozą wścibskości, niekoniecznie musi mieć moralne prawo do zdobywania psim swędem zdjęć i osobistych historii ludzi o dobrych sercach, nawet jeśli obuduje to szyldem „badania etnograficzne”. W książce są momenty, gdy tę bezlitosną miarę przykłada także do siebie, jednak takie konstatacje w żaden sposób nie zmieniają sposobu narracji, który jest męcząco gazetowyborczy, nieczuły, skupiony na podświadomym

podkreślaniu „wad” wsi i mieszkańców, którzy wpuścili Pajączkowską do swoich domów (brak zębów, brud, muchy).

Mam coraz większy problem z samym założeniem pisania reportażu, by pokazać, że „gdzieś mają gorzej”, bo to ze swej natury czynność pozbawiona wymienności i wzajemności. Mimo że autorka „Wędrownego zakładu...” opracowała, wydawałoby się, idealny pomysł na wymianę – osoby opowiadające jej swoją historię dostają zdjęcie – to trudno jest podczas pisania o miejscu, gdzie było się raz i pewnie już nigdy nie będzie, wyzbyć się miejskiej maniery reporterskiej. Wiele tego rodzaju tekstów brzmi jak reportaże z „Dużego Formatu” z lat 1995-2013, zanim liberalne redakcje odkryły wrażliwość społeczną. Niby nic, niby piszemy przecież, by pomóc, nagłośnić, interweniować, ale ze strzępków zdań i sposobu prezentacji języka opisywanych bohaterów przebija poczucie nieadekwatności, chęć zaakcentowania śmieszności sytuacji, a nawet pogarda. To się czuje. Zawsze mdliło mnie przy czytaniu takich tekstów.

Zastanawiam się od lat, jak pisać reportaże, by nie uchybić prawdzie i nie uchybić bohaterom. Staram się stawiać ich w centralnym, honorowym miejscu opowieści – ich, a nie samą historię, która, przefiltrowana przez ogląd reportera, traci znamiona obiektywizmu, mimo że usiłuje rozpaczliwie udawać, iż tak nie jest. Reportaż gazetowy czy książkowy to chyba ostatnie pole twórczości pisarskiej, które podejrzewamy o rozmaite nadużycia. Każe nam się wierzyć, że obraz wydarzeń przedstawiony przez autora jest jedynie słuszny, zgodny z rzeczywistością i wierny wydarzeniom. „Literatura faktu” to dla wielu wzór literackiej solidności; bardzo często słyszy się, jak w dyskusjach ktoś na poparcie tezy czy opinii o odległym miejscu czy ocenie wydarzenia stwierdza: „Było tak, bo tak napisał reporter w książce X”. Nie podsuwa badań, liczb czy choćby reportażu telewizyjnego, gdzie widać gołym okiem, jak wygląda „świat przedstawiony”. Podsuwa literacką, zbeletryzowaną wersję wydarzeń, widzianą okiem osoby, która

każe nam wierzyć, że „właśnie tak jest w dalekim kraju”.

Z drugiej strony – w jakim sposób reportaż miałyby być „obiektywny” i czy powinien? Dlaczego miałyby nie ulegać literackiemu naginaniu świata, przyrodzonemu każdemu rodzajowi pisania? Czemu miałyby nie być w nim widać autora? Uważam, że całkowity obiektywizm jest przereklamowany, a dążenie do niego – niemożliwe. Gorzej jednak, gdy autora widać w tekście aż za bardzo, gdy książka jest „o nim”, a nie „o sprawie”, a przy tym komentarz odautorski zmusza nas do wiary, że przedstawione wydarzenia miały miejsce dokładnie w takiej formie, w jakiej są opisane, a przytoczone słowa padły w spisany kształcie. To właśnie przypadek Pajączkowskiej, która sama przyznaje, że dialogi przytacza z pamięci, a więc po literacku zmienia ich brzmienie, kształt i wydźwięk, a jednocześnie każe nam wierzyć, że na Podlasiu jest tak, jak mówi.

Reportaż jest z konieczności wycinkowy, a obraz przedstawianej rzeczywistości – niepełny. Jednak książka oparta na mnóstwie drobnych impresji, króciutkich miniatur, zaledwie cieni wrażeń, czyni go dalece wyszczerbionym. To znana literacka maniera: autor nie prowadzi linearnej (ani nawet kompletnej) narracji, lecz zarzuca czytelnika dłuższymi i krótszymi wyimkami ze swojej podróży. W „Wędrownym zakładzie...” to czasem kilka stron, a czasem tylko parę zdań, co czyni opowieść dość niestabilną – ciekawe historie, których chcielibyśmy posłuchać dłużej, czasem kończą się, zanim zaczną. Brak puzzli, z których czytelniczka mogłaby ułożyć sobie brakujące fragmenty.

Pajączkowskiej nie można odmówić oka do niektórych obserwacji, a odmalowywany przez nią krajobraz upalnego lata i zagubionych w lasach wiosek zamieszkanym tylko przez starych ludzi sprawia, że pewnie niejeden czytelnik chciałby „rzucić wszystko i uciec na Podlasie” lub zanurzyć się, jak sama krytycznie to określa, w „typowej wschodniopolskiej egzotyce oglądanej z podnieceniem przez mieszkańców Warszawy, bezkrytycznie zafascynowanych biedą oraz niezrozumiałym dla nich wiejskim folklorem”. Autorka bywa (bardziej bywa niż

jest) zatem świadoma swojego przywileju i pewnej nieadekwatności podjętego przez siebie projektu. W książce co jakiś czas powracają pytania o to, czy w ogóle mamy prawo po prostu wchodzić komuś do domu i „żądać” czasu i opowieści od tej osoby, i kto nam naszym zdaniem to prawo przyznał? Nie przeszkadza jej to jednak popadać w kolejne etnograficzno-klasistowsko-historyczne klisze, opisywać własnego strachu, niesmaku czy zażenowania czyimiś poglądami. Moja „ulubiona” scena to ta, gdy wybiega z chałupy staruszki, bo ta wyraziła w rozmowie o dawnych czasach pogląd antysemicki – to wszystko bez refleksji, czy osoba w takim wieku i w takim miejscu miała kiedykolwiek szanse na edukację, poznanie narracji tolerancyjnej, przepracowanie stereotypów itp. Do autorki dociera powoli w trakcie podróży, że ludzie, których spotka, nie będą tacy, jak by chciała – uśmiechnięci, uskansenowieni, „biedni, ale szczęśliwi” – jednak wyciąga z tej konstatacji tylko połowiczne wnioski: „Dotarło do mnie, że przez miesiąc będę rozdawała raczej byle jakie zdjęcia, dostając w zamian sytuacje, które obtłuką mnie jak emaliowaną miskę, odrapią skutecznie z przyjemności sentymentalnego myślenia o wsi”. No tak, coś za coś. Na konfrontacji swoich wyobrażeń i poglądów z podlaską rzeczywistością się zresztą kończy – autorka w żaden sposób ich nie zmienia.

Bardzo ciężko czyta się tę książkę, jeśli posiadamy czuły barometr klasistowskiego bullshitu. A już zupełnie najgorsze są te klasizmy, które kryją się za „wrażliwością” i „postępowością”. Przykład – autorka podjeżdża vanem pod sklep wiejski i chce zapytać o drogę, ale tego nie robi, bo stoi przed nim trzech młodych facetów, którzy spojrzeli na auto, gdy podjeżdżała. „Nie wysiadłam, bo byłam w letniej sukience i nie chciałam usłyszeć pytania, za ile obciążam”, pisze autorka. W ciągu raptem kilku stron mamy przeskok od romantyzacji ubóstwa, więzi międzyludzkich i krajobrazu do odebrania mieszkańcom wsi cech ludzkich, a przypisania im zezwierzecenia a priori i bez żadnych podstaw. Plot twist – kiedyś W DUŻYM MIEŚCIE mijany na ulicy facet zapytał mnie

„Lubisz obciągnąć?”. I co teraz? Misterna konstrukcja się wali.

Co ujmuje w książce, to fakt, że autorka obiecała fotografowanym osobom, że ich zdjęcia nigdzie się nie ukąą – i, jak się wydaje, słowa dotrzymała. „Zakład...” to zatem historia o robieniu zdjęć ludziom, a nie album. W tym kontekście wymyślona przez nią filozofia wymiany – zdjęcie za opowieść – wydaje się bardzo ciekawym konstrukcyjnym kręgosłupem historii. Szkoda tylko, że jest najeżona minami uprzedzeń i przedzałożeń, z których samo doświadczenie (kilkuletnie) podróżowania i stykania się z ludźmi autorki niestety nie wyleczyło. Chociaż na ostatniej stronie książki pisze, że „zostawiła zdjęcia, ale dostała o wiele, wiele więcej”.

Autorstwo: Magdalena Okraska

Źródło: NowyObywatel.pl

Bibliografia

Agnieszka Pajczkowska, „Wędrowny zakład fotograficzny”, Czarne 2019, s. 384.